

500  
ŚWIADOMIE wybrałem dla kilku uwag o kolejnej rewelacji bardzo interesującego bieżącego sezonu teatralnego w Krakowie tytuł nieefektowny, mimo że nasuwały się różne stylistyczne pokusy. Można by przecież ten krótki szkic nazwać np. „Akt czwarty Wesela” lub „Wielka Nieochota i mała publiczność”. Można również zaproponować inne tytuły: Co wyjdzie z jajka? Między Czechowem i Majakowskim, Nieznany manuskrypt Arystofanesa, o „Indyku” można nieskończenie. Czy indyk naprawdę nie ma ochoty? — Każda z tych etykiet nadaje się jako punkt wyjścia i każdą prawdopodobnie warto byłoby rozwinąć. W sześćdziesiąt lat po „Weselu” Wyspiańskiego kronika teatralna krakowska notuje bowiem znów premierę, z której długo snuć się będą dymy po literaturze. Dla nas, współczesnych, pozostaje trudny obowiązek zajęcia rozsądnej postawy wobec dzieła, które atakując wstydliwie ukrywane kompleksy schorzeń społecznych, kłębawisko frazesu i nonsensu, czyni to z finezją dowcipu, z namiętną siłą deformacji i z żarem ironicznej odwagi. Przypuszczać należy zresztą, że każdy z widzów odczytuje „Indyka” nieco inaczej. Przedwczesna i z wielu względów niemożliwa jest próba hipotetycznej rejestracji i konfrontacji najczęstszych i najbardziej natrętnych sposobów rozumienia metafor Mrożka.

Oczywiście — to nie jest popularna sztuka dla mas i możliwość jednostronnego, a nawet zwulgaryzowanego jej odbioru istnieje jako realne niebezpieczeństwo. Nie zmienia to jednak faktu, że w ogólnym bilansie rezońans „Indyka” jest na pewno dodatni i pożyteczny. Wyzwalając ukrytą gorczy naszych codziennych doświadczeń życiowych, Mrozek sublimuje ją. Czyni to w formie satyrycznej, która przypomina trochę technikę niemieckiej groteski romantycznej (Grabbego „Zart, satyra, ironia i głębsze znaczenie”), a trochę drwiące fantasmagorie „Teatru Klary Gazul” Prospera

# GŁOS W DYSKUSJI O „INDYKU” MROŻKA

LESŁAW EUSTACHIEWICZ

Mérimée. Skojarzenie z Wyspiańskim nasunęło się natychmiast widzom i recenzentom jako naturalne i świadomie wywoływane przez autora i przez reżyserię.

Nadmiar natarczywych asocjacji literackich trzeba jednak opanować, żeby pod werbalnym naletem nie zagubić owej prowokacji dyskusyjnej, jaką stanowi „Indyk”. Drażniące pytanie „po co?” towarzyszy bohaterom sztuki i pozostaje bez odpowiedzi. Niesamowita sceneria karcmy, linie uciekające w ekspresjonistyczną nieskończoność, melancholia dysonansów i długich cieni, cierpkie oczekiwanie i cierpkie złudzenie, że się jest już poza światem pragnień i nadziei. A jednak Poeta stara się zmylić trop, ukryć przed Księciem parę uciekających kochanek. Więc nie wszystko jest obojętne w owym kraju programowego cynizmu i zniechęcenia, I w nim tłą jeszcze romantycznie niewystyglę imperatywy postępowania: wstręt do serwilizmu i szacunek dla jednostki walczącej o prawo miłości, tzn. indywidualnego istnienia. Poeta drwiąco ukazany jako wewnętrznie wydrażona kukła kabotyna w scenie parodii małżeństwa z Laura („Jajecznicę toleruję tylko ze szczy-

piorkiem. Szczypiorek musi być! Należy mi się to chyba po mojej wyczerpującej pracy! Ostatecznie jestem niepowtarzalny!”) jest jednak człowiekiem w starym, stoickim sensie tego określenia. Komiczny i koszmarny chór chłopów to nie jedyna perspektywa historii, choćbyśmy go nawet pojęli jako alegorię biurokracji.

Na prawach partyzanckiej trybuny krytycznej decyduje się więc wysunąć tezę o dwoistości możliwego odczytywania „Indyka”; jest w farsie Mrożka żywioł zgryźliwej parodii i ostrej negacji, ale jest obok niego „ludzka myśl skrzydlata” pod jaskrawą błazna szatą (zdanie ostatnie jest umyslną parafrazą finału aktu drugiego sztuki Dürrenmatta „Aniol zstąpił do Babilonu”). Gdyby, modyfikując technikę „rozmów umarłych” w guście dialogów Fontenelle’a, napisał ktoś rozmowy żywych w rakiecie międzyplanetarnej, dialog Dürrenmatt—Mrozek byłby szczególnie ciekawym rozdziałem takiej neo-wolteriańskiej serii powiastek filozoficznych.

Krakowskie przedstawienie „Indyka” jest wybitnym osiągnięciem teatru dzięki zestrojeniu scenografii, muzyki i gry aktorskiej w jednolitą całość. Modernistyczny dramat atmosfery znalazł tym razem swój nowoczesny wariant: „farsę

atmosfery”, groteskę filozoficznego nastroju, w której historiozofia nie przytłacza wobec bogato rozbudowanej warstwy parodystycznej, a jednak draży długo, niepokoi i pobudza do myślenia nawet tak niechętną propozycjom intelektualnym publiczność, jak ta, z którą muszą przede wszystkim liczyć się nasze teatry. Ukryty za wygodną maską pojedynczego głosu w dyskusji nie czuję się ani zobowiązany, ani powołany, by szczegółowo wypowiadać się w związku z drobnymi i wielkimi triumfami aktorskiej realizacji tekstu. Świetna Laura (Jolanta Hanisz), fenomenalny Kapitan (Julian Jabczyński) pozostaną długo we wdzięcznej pamięci wielu widzów. Z dwóch wykonawców roli Poety widziałem mimo dwukrotnej bytności na „Indyku” tylko jednego — Antoniego Pszoniaka. Wydo był on z roli poety-dekadenta, zabłąkanego w oberży Wielkiej Nieochoty, rozległą skalę kolejno kompromitowanych postaw wobec życia. Zachowując ironiczny dystans w stosunku do własnych słów i gestów, umiał zasugerować, że pod sceptyczną powierzchnią drwiny tkwi jednak jakiś twardy grunt, który w podmuchu wichru sztuki lub wichru historii, mógłby ujawnić konstruktywną siłę, ukrytą w grymasie negacji. Dzięki Poeście w interpretacji Pszoniaka spod usmiechu wyjrzała w wielu scenach „Indyka” melancholijna, groźna, opleciona węzami twarz Meduzy. Nie chce ona, byśmy patrząc na kraj bolesnego i komicznego znuzenia, skamienieli z trwogi. Chce, byśmy się śmiali oczyszczającym śmiechem zrozumienia. To jest jedyna wartość, którą może nam dać. A jeśli satyryk wyolbrzymił bezradność ludzi i czasu, czyż nie tak samo przed nim czynił Arystofanes w „Zabach” i Majakowski w „Łaźni”. Życie toczy się dalej.

Teatr Stary w Krakowie. Sławomir Mrozek: „Indyk”. Reżyseria: Lidia Mintz i Jerzy Skarżyński. Muzyka: Lucjan M. Kaszycki.